

ROZDZIAŁ PIERWSZY

PODOBNO PRAWDZIWYCH SHÉNNÓNG-SHĪ można rozpoznać po dłoniach poplamionych kolorami ziemi, opuszkach naznaczonych bliznami od kolców oraz trwałej skorupie ziemi i krwi ciemniejącej pod półksiężycami paznokci.

Kiedyś patrzyłam na swoje ręce z dumą.

Dzisiaj myślę tylko o tym, że te ręce pogrzebały moją matkę.



Dom jest ciemny i cichy, gdy poruszam się po pokojach jak złodziejka. Przeszukuję skrzynie i szuflady, przetrząsam rzeczy, które ojciec trzymał w ukryciu, by nie przypominały mu o żałobie. Kluczę między krzesłami i koszami, stojakami do suszenia liści oraz słoikami, ostrożnie stawiając stopy. Słyszę, jak za ścianą Shu cicho kaszle i wierci się na łóżku. W ciągu ostatnich kilku dni jej stan się pogorszył.

Wkrótce trucizna zabierze ją tak, jak zabrała naszą matkę.

Dlatego muszę wyjechać dzisiaj, zanim ojciec spróbuje mnie powstrzymać i zostanie tu z poczucia winy i strachu, aż będzie za późno. Dotykam zwoju schowanego w fałdach tuniki, by upewnić się, że wciąż tam jest.

Znajduję to, czego szukałam, z tyłu składziku. Szkatułka shénnóng-shī mojej mamy, ukryta w narożnej szafce. Gdy podnoszę wieko, wspomnienia ulatują z niej z westchnieniem, jakby czekały na mnie w pachnącej herbatą ciemności. Wodzę palcami po każdym wyłobieniu w drewnie, dotykam każdej przegródki i przypominam sobie, jak w kółko powtarzałyśmy nazwy przechowywanych w niej przedmiotów. Ta szkatułka jest mapą mojej mamy. Jej nauk, jej opowieści, jej magii.

Ale ten widok przywołuje też inne wspomnienia.

Stłuczona filiżanka. Ciemna plama na podłodze.

Prędko zamykam wieko.

W głębi tej samej szafki znajduję inne słoiki opisane starannym pismem mamy. Ręce lekko mi drżą, gdy otwieram ten z liśćmi herbaty z zeszłego lata. To ostatnie zbiory, przy których jej pomagałam – chodziłyśmy ogrodowymi ścieżkami i zrywałyśmy listki z gałęzi.

Gdy wdycham zapach prażonych liści, woń przechodzi w gorycz na końcu języka. Przypomina mi, jak ostatnie próby użycia magii skończyły się porażką i łzami, a ja przysięgłam nigdy więcej nie dotykać tych narzędzi. Jednak to było, zanim na naszym progu pojawił się zwój. Tym razem nie mogę sobie pozwolić na niepowodzenie.

Laicy często sprowadzają shénnóng-shī do roli wprawnych estradowców, zdolnych zręcznie nalać i zaprezentować pospolity napój. Oczywiście wyszkoleni shénnóng-shī świetnie znają podstawy – smaki odpowiednie na różne okazje, kształt i typ filiżanki właściwej do podawanej herbaty. Lecz prawdziwie władający magią Shénnóngra mają swoje wyjątkowe talenty. Niektórzy sporządzają napary wywołujące emocje: współczucie, nadzieję, miłość. Inni potrafią na-

sycić ciało energią lub pomóc pijącemu przypomnieć sobie coś, co dawno utracił. Przenikają poza mury ciała aż do samej duszy.

W świetle paleniska wyciągam tacę i naczynia, jedno do parzenia, drugie do stygnięcia. Prócz bulgotania wody słyszę skrzypnięcie w pokoju obok. Zastygam – boję się długiego ciemnego cienia na ścianie i gniewu ojca.

Ale on tylko przewraca się na łóżku z chrapnięciem. Oddycham z ulgą i wracam do narzędzi. Drewnianymi szczypcami podnoszę kulki z liści herbaty, a następnie umieszczam je w naczyniu. Ostrożnie obracając rękę w nadgarstku, zalewam liście gorącą wodą. Rozwijają się powoli, uwalniając swoje tajemnice.

Najwspanialszy shénnóng-shī potrafią dostrzec przyszłość w wodnej mgle nad dobrze zaparzoną herbatą. Kiedyś mama zaparzyła fù pén zǐ, napor z suszonych liści krzewu malinowego, dla ciężarnej kobiety z wioski. Para buchnęła błękitem w porannym powietrzu i przybrała kształt czterech lśniących igieł. Na tej podstawie mama rozpoznała, że dziecko urodzi się martwe.

Gdy liście pęcznieją w wodzie, słyszę głos mamy. Jej opowieści o tym, jak wieczorna mgła podąża za białymi skrzydłami Strażniczki Gór, bogini, która o zmierzchu zamienia się w ptaka. Pani Południa upuściła z dzioba liść do kielicha Pierwszego Cesarza i podarowała ludziom przyjemność herbaty.

W dzieciństwie Shu i ja snułyśmy się za rodzicami po ogrodach i sadach z koszami zawieszonymi na wysokości bioder. Często miałam wrażenie, że czuję na skórze muśnięcie tych skrzydeł. Czasami przystawałyśmy, by posłuchać, jak bogini prowadzi nas do gniazda ćwierkających

piskląt lub ostrzega przed ulewnym deszczem, który spowoduje gnicie korzeni, jeśli niestaranie przekopiemy ziemię.

Przelewam złocisty płyn do drugiego naczynia. Mama nigdy nie pozwalała nam zapomnieć o dawnych zwyczajach z czasów, nim klany zostały podbite, przed powstaniem i upadkiem imperiów. Ten nabożnie wykonywany rytuał czuło się w każdej filiżance herbaty, którą zaparzyła. Znała każdy element składający się na napar, poczynając od źródła wody, aromatu drewna podsycającego ogień, przez naczynie, w którym podgrzewała wodę, po liście zrywane własnymi palcami, parzone w filiżance ukształtowanej własnymi rękami i wypalanej we własnym piecu. Destylowany płyn w dłoniach obu rąk ofiarowany był jako błogosławieństwo.

„Tu jestem. Pij i bądź zdrowa”.

Nachylam się i wdycham słodki zapach jabłek. Słyszę senne bzyczenie pszczoł wśród kwiatów polnych. Otula mnie ciepłe poczucie ukojenia. Powieki mi opadają, lecz ta chwila mija, gdy dostrzegam coś kątem oka.

Cała się napinam.

Trzepot czarnych skrzydeł po lewej. Wrona sunie przez przydymioną ciemność i znika.

Chcąc nauczyć się czytać herbatę jak mistrz, trzeba trenować całe życie, a ja już pogodziłam się z tym, że będę czeladniczką lekarza. Decyzja zapadła rok temu. Moja siostra nie mogła znieść widoku krwi, a mój ojciec potrzebował rąk do pomocy.

Zwątpienie pełza po mojej skórze, gdy palce ponownie zaciskają się na zwoju. Zaproszenie przeznaczone jest dla kogoś innego – prawdziwej czeladniczki mojej mamy.

Ale moja mama nie żyje, a teraz tylko jedna z nas jest wystarczająco silna, by odbyć podróż.

Zmuszam się do skupienia. Biorę głęboki wdech. Wypuszczam powietrze i para przede mną faluje. Wizje się kończą. Strużka herbaty przelewa się do małej filiżanki, tylko odrobina. Upijam łyk – miód smakuje optymizmem, obietnicą lata, które będzie trwało wiecznie...

Odwaga płonie jasno i mocno w mojej piersi, gorąca jak spieczony słońcem kamień nad rzeką.

Pewność siebie rozchodzi się falami po moim ciele. Ściągam łopatki i czuję się dostojna jak kotka gotowa do skoku. Ucisk w dolnej części brzucha lekko się rozluźnia. Magia wciąż tam jest. Bogowie nie odebrali mi jej w ramach kary za zaniedbanie.

Nagle rozprasza mnie gwałtowny kaszel. Przewracam jedno z naczyń i rozlewam herbatę na tacę. Biegnę do sąsiedniego pokoju.

Moja siostra z trudem siedzi, kaszel wstrząsa jej szczupłym ciałem. Szuka miski, którą ma przy łóżku. Podaję jej naczynie. Krew bryzga na drewno, dużo, raz za razem. Po chwili, która trwa wieczność, atak w końcu przechodzi i Shu z drżeniem opada na posłanie.

– Zimno mi – szepcze.

Kładę się na łóżku przy niej i otulam nas kocami. Shu kurczowo ściska moją tunikę i bierze świszczący wdech. Przytulam siostrę, aż jej oddech się uspokaja i zmarszczki wokół ust znikają.

Robimy, co w naszej mocy, żeby leczyć Shu pozbawieni wiedzy i mądrości mamy. Ja, z trudem przypominająca sobie lekcje z dzieciństwa, i tata, wykształcony lekarz, który pobierał nauki w kolegium cesarskim. Potrafi nastawiać

kości i zszywać rany, leczyć dolegliwości zewnętrzne. Choć zna się na niektórych chorobach wewnętrznych, w bardziej złożonych przypadkach zawsze zdawał się na sztukę mamy. Dlatego byli tak zgranym duetem.

Tata wykorzystał cały zasób wiedzy, jaką posiadał, a nawet przełknął dumę i wysłał list do kolegium z prośbą o pomoc. Próbował każdego możliwego antidotum. Ale ja znam mroczną prawdę.

Moja siostra umiera.

Wywary i nalewki działają jak zapora, która blokuje truciznę, lecz pewnego dnia ta zapora puści. Nie możemy zrobić nic, by to powstrzymać.

To ja zawiodłam siostrę.

W ciemności walczę z myślami i obawami. Nie chcę jej zostawiać, ale nie mam wyjścia. Zwój to jedyna odpowiedź. Cesarski orszak dostarcza zwoje pod drzwiami każdego shénnóng-shī w Dàxī. Tylko Shu była w domu, kiedy go dostaliśmy. Ja pomagałam ojcu w opiece nad pacjentem w wiosce. Shu rozwinęła go dla mnie w zaciszu naszej sypialni tamtego dnia późnym wieczorem. Materiał przetykany złotem zalśnił. Z tyłu poruszył się smok wyhaftowany tak misternie, że mógł ożyć i zatańczyć wokół nas, zostawiając za sobą ślad płomieni.

„Przyjechał dzisiaj” – powiedziała mi z przejęciem, jakie rzadko widziałam u łagodnej Shu. „Cesarski konwój z dekretem od księżniczki”.

Słów nauczyłam się praktycznie na pamięć: *Dekretem cesarskim księżniczka Li Ying-Zhen zaprasza na obchody upamiętnienia cesarzowej wdowy, które odbędą się podczas festynu szukania wschodzącej gwiazdy. Wszystkich shénnóng-tú zapraszamy do udziału w konkursie, w którym*

wyłonimy następnego shénnóng-shī do służby na dworze. Zwycięzca otrzyma również nagrodę w postaci przysługi wyświadczanej przez samą księżniczkę.

Słowa śpiewają do mnie, wołają.

W tym pokoleniu żaden shénnóng-shī nie został przyjęty na dwór, a byłby to największy zaszczyt. Pozwoliłby shénnóng-tú ominąć próby i zostać mistrzem. Jego domostwo zyskałoby bogactwa, a wioska – sławę. Ale to nadzieja na przysługę przemawiała do mnie najbardziej. Mogłabym zażądać, by moją siostrą zajęli się najlepsi lekarze w królestwie, którzy sprawdzali tętno samego cesarza.

Ścisła mnie w gardle, gdy patrzę na siostrę śpiącą spokojnie obok. Gdybym mogła wyssać truciznę z niej i przyjąć ją sama, z radością bym to uczyniła. Zrobiłabym wszystko, by ulżyć jej w cierpieniu.

Zaparzyłam tamtą feralną filiżankę herbaty dla mamy i Shu z kostki rozdawanej wszystkim poddanym podczas Świąta Środka Jesieni. Przez chwilę, gdy wrząca woda wsiąkała w zbite liście, wydawało mi się, że widziałam węża, białego i lśniącego, wijącego się w powietrzu. Kiedy dłonią rozproszyłam parę, wąż zniknął. Powinna być mądrzejsza i tego nie ignorować.

Ale wkrótce potem usta mamy poczerniały. Wąż był złym omenem, ostrzeżeniem od bogini. Nie posłuchałam go. Mimo ogromnego cierpienia, gdy trucizna rozchodziła się po jej ciele, mama przygotowała wywar, który zmusił moją siostrę do opróżnienia żołądka i uratował jej życie.

Przynajmniej na razie.

Wstaję z łóżka ostrożnie, żeby jej nie obudzić. Pakowanie nie zajmuje mi dużo czasu. Wrzucam ubrania do worka razem z jedyną cenną rzeczą, jaką posiadam: naszymi jnikami,

który dostałam na dziesiąte urodziny. Sprzedam go, by zdobyć pieniądze na podróż do stolicy.

– Ning! – Szept Shu przecina noc. Widocznie wcale nie spała. Serce mnie boli, kiedy widzę jej bladą jak mleko twarz. Przypomina dzikie stworzenie z opowieści mamy: włosy ma splątane, jej oczy błyszczą niczym u łani w ludzkiej skórze.

Klękam u jej boku, a ona odnajduje moje dłonie i podaje mi małe materiałowe zawiniątko. Czuję ukłucie szpilki. Odwijam chustę i podnoszę przedmiot do światła księżyca. Widzę ozdobioną klejnotami spinkę do włosów od jednej z wdzięcznych patronek mamy – cenną pamiątkę ze stolicy. Ten skarb miał należeć do Shu, tak jak naszyjnik od mamy miał należeć do mnie.

– Weź ją ze sobą – prosi siostra – żebyś czuła się piękna w pałacu. Taka piękna jak ona.

Otwieram usta, by zaprotestować, ale ona ucisza mnie, kręcąc głową.

– Musisz wyjechać dziś w nocy. – Przybiera surowy ton, jakby to ona była starszą siostrą, a ja młodszą. – Nie opychaj się tartami kasztanowymi.

Parskam za głośno i przełykam śmiech oraz łzy na jednym oddechu. A co, jeśli wrócę, a jej już nie będzie?

– Wierzę w ciebie – mówi z tą samą zaciętością, z jaką wczoraj przekonywała, że muszę wyjechać do stolicy i ją zostawić. – Rano powiem tacie, że pojechałaś do ciotki. Zyskasz trochę czasu, zanim zauważy, że zniknęłaś.

Ściskam mocno jej dłoń, niepewna, czy dam radę coś powiedzieć. Nie wiem, co w ogóle mogłabym powiedzieć.

– Nie pozwól, by Wygnany Książę złapał cię w ciemności – dodaje.

Przywołuje historię z dzieciństwa, opowieść na dobranoc, z którą wszyscy dorastamy. Wygnany Książę oraz jego wyspa przestępców i bandytów. Jej słowa znaczą: bądź bezpieczna.

Całuję ją w czoło i wymykam się z pokoju.